NIEZWYKŁE PODRÓŻE I ODKRYCIA

Magiczna Namibia – synonim zaskoczenia

Od ogromu czerwonych wydm pustyni i prawdziwie apokaliptycznego zachodu Słońca, po głębokie wąwozy kanionu Fish River, bezkresną pustkę i magiczny nastrój nieskażonej cywilizacją ziemi spieczonej prażącymi promieniami – spektakularne pejzaże Namibii tworzą pocztówkowy obraz, zachęcając do eksploracji i kontemplacji.

JACEK PAŁKIEWICZ

O pustynny brzeg, który stał się grobem dla wielu żeglarzy, uderzają lodowate fale oceanu. Na ciemnym wulkanicznym piasku bieleją szczątki muszli, wyschnięte wodorosty, a także kości wielorybów, fok, a może nawet i marynarzy. Jak okiem sięgnąć, roztaczają się zachwycające widoki, rzeźbione wiatrem gigantyczne wydmy, powietrze drgające od skwaru, jary i zagłębienia terenu wypełnione wodą, gdzie często schodzą się pustynne zwierzęta. Wokół panuje absolutna cisza i magiczny nastrój, który sprawia wrażenie kompletnej izolacji od reszty świata. Jestem na otoczonym złą sławą Skeleton Coast, Wybrzeżu Szkieletowym, lub – jak mawiali kiedyś Portugalczycy – Wybrzeżu Piekieł. Gęste mgły, które pustynia tworzy w kontakcie z wilgocią oceanu, niebezpieczne prądy morskie, potężne fale i silne wiatry były tutaj przyczyną licznych tragedii. Na przestrzeni wielu kilometrów plaża usłana jest wrakami zasypywanych przez wydmy statków, które zżera stopniowo rdza, by w końcu doprowadzić do rozpadu na wiele segmentów. Swego czasu Lonely Planet nazwał pustynię „miejscem najbardziej przypominającym Marsa, które można odwiedzić bez statku kosmicznego".

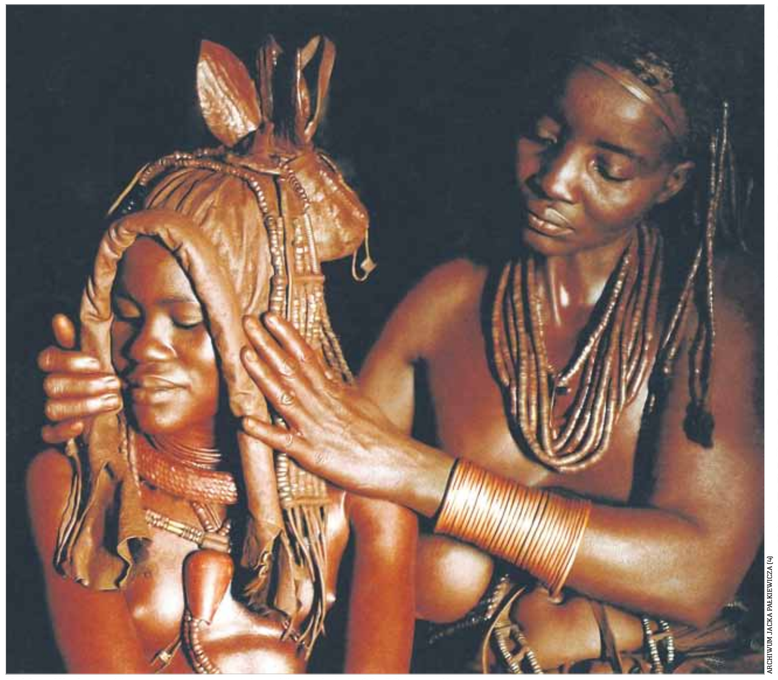

Kobiety Himba z półkoczowniczej grupy etnicznej liczącej około 20–50 tys. osób

ARCHIWUM JACKA PAŁKIEWICZA (4)

Ofiary Wybrzeża Szkieletowego

W 1976 r. rozbił się południowoafrykański trawler rybacki Suiderkus. Dopiero kilka lat później natrafiono na szkielety członków załogi. Niezwykle dramatyczne przeżycia stały się udziałem 106 osób ze statku Dunedin Star, który osiadł tutaj w 1942 r. Część pasażerów postanowiła ruszyć na pustynię i wkrótce ślad po nich zaginął. Inni pozostali na statku, licząc na pomoc z morza. Istotnie na sygnał SOS odpowiedziały trzy przepływające nieopodal jednostki, jednak sztorm uniemożliwił zabranie rozbitków szalupami. Dwa statki wycofały się z akcji ratowniczej, trzeci, Sir Charles Elliot utknął na mieliźnie 300 m od brzegu, pogarszając jeszcze bardziej sytuację. Po dwóch tygodniach z samolotu wojskowego zrzucono na spadochronach paczki z żywnością. Jeszcze tego samego dnia pilot zdecydował się wylądować na plaży. Ewakuowano kobiety i dzieci, ale przy starcie samolot zakopał się w piasku. Czarna seria nie opuszczała nieszczęśliwców. Ich odyseja zakończyła się dopiero po 26 dniach. W Wigilię Bożego Narodzenia kilka pojazdów mechanicznych odnalazło część pozostałych przy życiu rozbitków, których przewieziono do Swakopmund.

Zdradziecki brzeg nie oszczędził także małych samolotów i aut terenowych, którymi zapuszczali się tutaj poszukiwacze diamentów. Rozbitkowie nie zawsze mogli liczyć na powodzenie akcji ratunkowych w tym bezludnym i odosobnionym zakątku południowo-zachodniej Afryki.

300-metrowe diuny na pustyni Namib

Wybrzeżem Szkieletowym nazywa się potocznie cały, długi na 2 tys. kilometrów morski brzeg Namibii. Pierwszym Europejczykiem, który stanął na tym pustynnym brzegu w 1485 r., był portugalski żeglarz Diogo Cão. Pozostawił po sobie ślad – mały symboliczny krzyż z napisem informującym o swojej bytności na Przylądku Cross. Potem musiały upłynąć prawie cztery stulecia, zanim przybyli tu kolejni odkrywcy.

Posępne pustkowie przechodziło różne koleje losu. Stanowiło terytorium wydzielone na potrzeby ludności autochtonicznej Bantu, potem znalazło się w centrum zainteresowania geologów. Celem ochrony środowiska naturalnego w 1971 r. cały obszar został objęty ścisłą kontrolą. Do utworzonego rezerwatu Skeleton Coast, stanowiącego okruchy dawnego świata, można wjechać tylko po uzyskaniu specjalnego zezwolenia.

Na słynnych diunach Sossusvlei odniosłem wrażenie, że oglądam gigantyczne i sugestywne pocztówki z klasycznymi wydmami, które są w stanie rozpalić fantazję każdego mieszczucha. Miliony ton rozgrzanego piasku tworzą niekończące się sinusoidalne regularne formy, uderzające swoją prostotą i mające coś ze zmysłowych erotycznych linii obnażonej kobiety. Monstrualne, ceglastego koloru wydmy wyniesione przez wiatr sięgają 300 metrów wysokości. Obowiązkowym dla fotografów obiektem jest dno białego wyschniętego słonego jeziorka w dolinie Deadvlei z dziwacznie powykręcanymi szkieletami skamieniałych akacji erioloba, uschniętych przed kilkuset laty. Tworzą spektralny widok, a warunki klimatyczne tak doskonale je zakonserwowały, że nie poddają się nawet atakom termitów.

Z piasków Sossusvlei przemieszczamy się terenową toyotą na północ. Przejeżdżamy przez głębokie wąwozy rzeki Tschaub, by wkrótce wyjechać na pustynną równinę, przeciętą prostą jak strzała, dobrze utrzymaną szutrową drogą pozwalającą rozwijać sporą szybkość.

Diamentowa „Deutsche Sudwest Africa"

Wjeżdżamy do sennego miasteczka Lüderitz. Mam wrażenie, że wylądowałem w kajzerowskich Niemczech, gdzieś nad Morzem Północnym. Dominuje niemiecka architektura, czerwone dachówki na stromych dachach domków, szerokie ulice, zadbane ogródki, szyldy drukowane czcionką gotycką, lokalny „Allgemeine Zeitung", wszechobecny niemiecki język. Zarząd miejski nazywa się Rathaus, piekarnia – Backerei, a zatoka – Grüsse Bucht. Całość zwieńcza zbudowany na wzgórzu luterański Felsenkirche ze swoimi wspaniałymi witrażami. Miasteczko jest istną oazą spokoju, w której mieszkańcy uśmiechają się przyjaźnie do przybysza, w której nieznana jest przestępczość, a nieprzekupna policja co najwyżej zajmuje się podchmielonymi kierowcami czy wypisywaniem mandatów za nieopłacony parking.

W restauracji wypełnionej pożółkłymi fotografiami przedstawiającymi atmosferę kolonialnych Niemiec, gdzie serwują najlepsze na świecie langusty i ostrygi, z okna widać półwysep ochraniający miasto. Ciągnące się wzdłuż niego plaże są niczym z widokówki: białe, pustynne, bez śladów zabudowań, bez dróg i słupów elektrycznych.

To tu, w Lüderitz powstał zalążek niemieckiego osadnictwa. Był rok 1883, kiedy niejaki Adolf Lüderitz, bremeński handlarz tytoniem, kupił za 600 funtów i 120 karabinów od wodza plemienia Nama, Angra Pequena, zatokę, nad którą założył osadę. Wkrótce zwrócił się do swojego rządu o objęcie protektoratem niemieckim posępnej i pięknej w swojej surowości pustyni. 24 kwietnia 1884 r. Otto von Bismarck spełnił jego życzenie. Kilka batalionów Schutztruppe wzięło w posiadanie leżące w gestii Anglików z Kapsztadu terytorium zwane Afryką Południowo-Zachodnią i nazwało je „Deutsche Sudwest Africa".

24 lata później odkryto tu złoża diamentów, które początkowo zbierano nawet gołymi rękami. W ciągu kilku miesięcy piaski wybrzeża Lüderitz, znanego do tej pory jedynie ze względu na guano, cenny nawóz wyprodukowany w ciągu tysiącleci przez ptactwo, i dzięki zimnemu prądowi Benguela, bogatemu w plankton przyciągający wielkie ławice rybne, zostały opanowane przez międzynarodową rzeszę poszukiwaczy, awanturników i spekulantów. Kwaterą główną diamentonośnych terenów stało się Kolmanskop, gdzie rozkwitło pełne wygód dostatnie życie. Pojawił się teatr, do którego przyjeżdżali znakomici aktorzy niemieccy, oraz kasyno, basen z morską wodą sprowadzaną 35-kilometrowym rurociągiem, bogate sklepy importujące szampana z Paryża i mineralną wodę z Kapsztadu.

W końcu lat 20. XX w. nastąpił spadek prosperity Kolmanskop. Kilkaset kilometrów na południe znaleziono nad Orange River aluwialne pokłady diamentów. Natychmiast powstało nowe, kwitnące dziś miasto Oranjemund. Kolmanskop poszło w zapomnienie, podobnie jak i burzliwa historia zrodzonych tu fortun. W 1944 r. zaprzestano eksploatacji, świetność przeminęła i pustynia ponownie zawładnęła miasteczkiem, odbierając to, co zostało jej wcześniej wydarte. Wkrótce wynieśli się stąd ostatni mieszkańcy. Dziś jest to miasto-widmo z surrealistyczną atmosferą idealnie odzwierciedlającą spustoszenia, jakie dominują na całym wybrzeżu Namibii. Zasypane do połowy piaskiem, odrestaurowane domki stanowią obowiązkowy punkt programu każdej agencji podróży.

Insurekcja ludów Herero i Nama

Historia kolonii bismarckowskich Niemiec była krótka i miała dramatyczny finał. Tubylcza ludność pasterska Herero, zamieszkująca od zarania czasów te tereny, została stopniowo wywłaszczona. W prosty sposób. Biali wprowadzili handel wymienny. Za rogi nosorożca, kły słonia, za owce, krowy, półszlachetne kamienie czy złoto ofiarowywali kolorowe tkaniny, grzebienie, szczoteczki do zębów, tytoń bądź whisky. Krajowcy chętnie nabywali przedmioty wcześniej im nieznane, chociaż często mało użyteczne. Towary mogli kupować na kredyt. „Możecie dziś brać pastylki od bólu głowy, paciorki, harmonijki ustne, staniki, a zapłacicie później – zapewniali kolonizatorzy. – A jeśli już nie stać was będzie na zapłacenie, będziecie mogli dać kawałek ziemi i może kilka krów. Nam to wszystko jedno". Herero nie zorientowali się nawet, jak szybko zaczęli pozbywać się swojej ziemi. Jeśli ktoś był oporny, to miał do czynienia z trybunałem i więzieniem. W którymś momencie krajowcy się ocknęli.

12 stycznia 1904 r. w upalne lato antypodów ludy Herero i Nama, kierowane przez Samuela Maharero, wznieciły powstanie, by bronić swoich praw do utraconych ziem. W ciągu paru tygodni przejęli władzę nad znaczną częścią swych dawnych terenów. Zginęło wtedy co najmniej 200 osadników. Do zdławienia buntu zostały wysłane pruskie wojska kolonialne. Generał Lothar von Trotha wydał rozkaz opuszczenia nadzorowanego przez Niemcy terytorium. „Ci, którzy tu pozostaną, bez względu na to, czy są uzbrojeni, czy nie, zostaną zastrzeleni" – zapowiedział dowódca. Był to pierwszy przypadek ludobójstwa w dziejach Niemiec. Krajowcy byli bez szans. Okryci skórami dzielnie stawiali czoło słynnej armii pruskiej, spadkobierczyni tradycji wielkich generałów i wykazujących się wyjątkowym okrucieństwem cesarskich żołnierzy, którzy, co tu dużo mówić, niedawno upokorzyli Francuzów pod Sedanem.

11 sierpnia 1904 r. na płaskowyżu Waterberg doszło do decydującej bitwy, gdzie poniosło chlubną śmierć kilka tysięcy powstańców. Uzbrojeni tylko w dzidy, stare strzelby i osobistą odwagę, pomaszerowali wprost w morderczy ogień karabinów maszynowych i polowej artylerii Kruppa. Niemcy zastosowali następnie taktykę „spalonej ziemi", a w wyniku pacyfikacji i represji doszło do niezwykle brutalnego stłumienia protestów. Szacuje się, że w latach 1904–1908 zginęło do 100 tys. Herero oraz 10 tys. Nama. Niemcy wymordowali także dużo ludzi, którzy z buntem mieli niewiele wspólnego; zatruwali wodę w studniach, gwałcili kobiety, nie oszczędzali dzieci. Ci, którzy przeżyli, znaleźli się w obozach, w których panowały koszmarne warunki. Masakra miejscowej ludności trwała całą dekadę.

Niemiecka „pomoc rozwojowa" za ludobójstwo

15 tys. Herero i 6 tys. Nama, którzy uszli z życiem, popadło w głód i biedę. Namibia przeszła pod protektorat Południowoafrykańskiej Unii. Dopiero w 1990 r. uzyskała niepodległość, ale Herero wciąż pozostali bez swojej ziemi. Dzisiaj o nią się upominają. Po latach nacisków w 2021 r. Niemcy uznały zbrodnie popełnione przez ich wojska w Namibii za ludobójstwo. Dlatego przeznaczyły wypłatę w ciągu 30 lat nieco ponad miliarda euro, ale nie jako odszkodowanie, a na programy rozwojowe. Obawiając się, że to wywołałoby dyskusje o reparacjach wojennych, nie chciały tego nazywać wynagrodzeniem za krzywdy i wyraziły opinię, że ten gest nie otwiera drogi do jakichkolwiek roszczeń.

28 maja 2025 r. rząd Namibii po raz pierwszy zorganizował narodowe obchody pamięci o ludobójstwie dokonanym przez niemieckich kolonizatorów. Negocjacje nie zakończyły trudnej historii niemiecko-namibijskiej. Rada Wodzów ludów Herero i Nama odrzuciła niemiecką ofertę „pomocy rozwojowej". Zdaniem potomków ofiar jest ona wręcz „obrazą" i stanowi o wiele za niską rekompensatę za kolonialne zbrodnie. Ogłosili, że oczekują od Niemców reparacji w wysokości 480 mld euro. Trudno jest wzorować się na namibijskich argumentach, bo Berlin w ostry sposób rozgranicza zbrodnie popełnione w czasach kolonialnych, od tych, które popełniły „nazistowskie Niemcy" w czasie II wojny światowej.

Następny etap to Swakopmund, słynny nadmorski kurort, dwa razy mniejszy od Sopotu, o pedantycznie czystych i uporządkowanych ulicach ozdobionych wysokimi palmami. Jest miniaturą typowej spokojnej prowincji niemieckiej. Ślad krótkotrwałego panowania kolonizatorów teutońskich w latach 1884–1914 widoczny jest na każdym kroku. Ich potomkowie są właścicielami sklepów, restauracji i eleganckich hoteli. Język niemiecki jest nie mniej rozpowszechniony od oficjalnego angielskiego czy afrikaans, pochodzącego od holenderskiego, którym posługują się Namibijczycy różnych grup etnicznych. Widać mnóstwo szyldów i napisów drukowanych czcionką gotycką. Wielu Niemców z interioru Namibii posiada tu letnie domki o tradycyjnej architekturze, typowej dla wybrzeża Morza Północnego. W końcu grudnia, który jest tu szczytem lata, średnia temperatura osiąga 25°C i miasto zapełnia się wczasowiczami ze stolicy, a także stutysięcznym wysypem sentymentalnych turystów z Niemiec, marzących o odwiedzeniu ziemi, na której walczyli ich dziadkowie i do dziś mieszkają ich krewni.

Niemieckie są także nazwy ulic, począwszy od głównej Kaiser Wilhelm Strasse po Strand Strasse, gdzie w pobliżu latarni morskiej, symbolu miasta, przed wyjazdem w dalszą podróż delektujemy się pysznymi homarami w położonej nad brzegiem Atlantyku renomowanej restauracji.

Niezwykła roślina: welwiczja

Dopisuje nam szczęście. Jesteśmy świadkami rzadko trafiającego się deszczu. W kilka godzin Wybrzeże Szkieletowe ulega prawdziwej metamorfozie, pokrywa się zielonym dywanem usianym kwiatami i trawami. Pojawiają się nawet sukulenty, uśpione nieraz od długich lat. Wśród ponad stu rodzajów porostów wyróżnia się występująca tylko w Namibii i Angoli welwiczja. Natrafiamy na nią wśród Gór Księżycowych. Robi wrażenie przeniesionej z zamierzchłej przeszłości, nieomal żyjącej skamieliny.

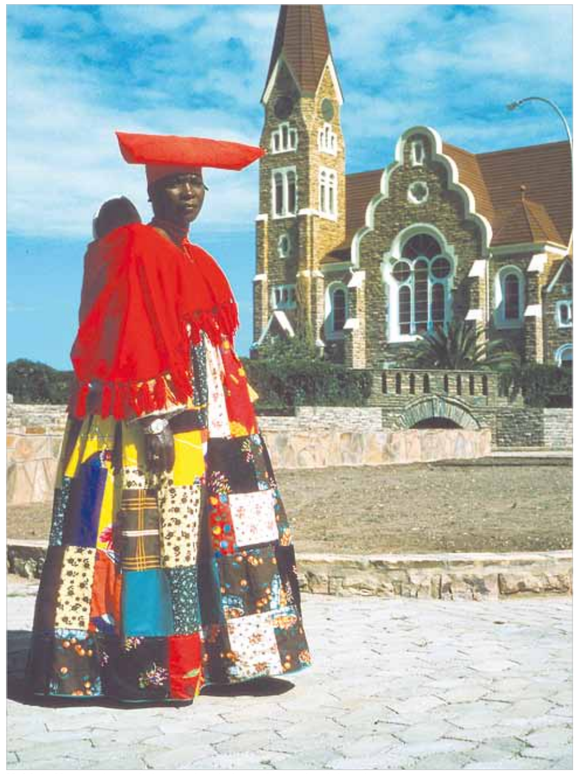

Kobiety Herero słyną z kolorowych sukni oraz fantazyjnych kapeluszy

Welwiczja – jedna z najbardziej tajemniczych i osobliwych roślin

I tak jest rzeczywiście. Botanicy uważają, że te endemiczne rośliny pamiętają czasy Mojżesza. Ich zdaniem początki owej niezwykłej rośliny sięgają epoki między 135 a 205 mln lat temu, kiedy ziemie te były pokryte głuchą puszczą. Odkrył ją dla świata w 1860 r. niemiecki botanik i lekarz Friedrich Welwitsch. Jej dwa długie, osiągające do 3 metrów wstęgowate liście nigdy nie odpadają, a czas i wiatr strzępią jedynie ich końce, które potem odrastają. Roślina zdobywa płyn głównie z kondensacji mgły i minimalnie z wilgoci gruntowej zapewnionej przez długie liście, z których spadają na piasek krople wody.

Chłód wieczorny jest przyjemnie orzeźwiający. Po zapadnięciu zmroku pustynia szybko oddaje ciepło i słupek rtęci z 40°C spada do 22. Ledwie zdążyliśmy zapomnieć o bezlitośnie prażących promieniach słońca, gdy zaczyna dawać się we znaki wiatr i zimno.

Docieramy do skalistego regionu Kaokoland, graniczącego na północy z Angolą i na wschodzie z parkiem narodowym Etosha. Trudna droga biegnąca wśród ostrych kamieni, bardzo niebezpiecznych dla opon samochodowych, wiedzie przez pasmo górskie pełne malowniczych wąwozów, gdzie zatrzymujemy się na nocleg. Rankiem, w rozjaśniającej się purpurowej poświacie, ruszamy w dalszą podróż. W dolinie Sesfontein, usianej pojedynczymi okazami olbrzymich baobabów, napotykamy stado strusi, a nieco później kilkanaście gemsboków, dużych antylop o długich prostych rogach, żyjących w rejonach, gdzie rośnie trochę trawy.

Życie towarzyskie

Nasza wędrówka po Namibii dobiega końca. Ostatni etap wiedzie do stolicy: Windhuk. Za nami setki kilometrów traktów pustynnych, ale także dobrze utrzymanych szutrowych, pustych dróg, po których tylko od czasu do czasu przemknie jakiś pojazd. Drogi te często są proste jak strzała i każdy większy zakręt na nich jest wydarzeniem. Żadnych miast, osad czy stacji benzynowych. Całkowita pustka.

Windhuk to także wizytówka bismarckowskich Niemiec. Leży na wysokości 1655 m n.p.m., ma więc doskonały klimat i zadziwia atmosferą absolutnego spokoju. Liczy niespełna 500 tys. mieszkańców. Uwagę przyciągają dużej postury kobiety z plemienia Herero – w kwiecistych sukniach i charakterystycznych nakryciach głowy przypominających duże rogale. Pozostaje jeszcze obowiązkowe zdjęcie malowniczego Christuskirche, ewangelicko-augsburskiego kościoła z 1910 r., jednego z głównych symboli miasta.

Życie towarzyskie miasta koncentruje się między kilkunastoma przeszklonymi wieżowcami przy Kaiserstrasse, gdzie potomkowie kolonizatorów piją piwo, kupują każdego rana lokalny „Allgemeine Zeitung" i obchodzą tradycyjnie Oktoberfest. Wieczorem w restauracji Hansa Gustawa spotyka się przy świetle świec elita miasta. W dużym salonie ze ścianami z ciemnego drzewa, z ciężkimi kotarami, starymi rycinami, zasiada dystyngowane towarzystwo w nienagannych wieczorowych strojach, delektując się ostrygami o niepowtarzalnym mulisto-słodkawym smaku i lokalną odmianą króla białych win Chenin Blanc serwowanym z europejską klasą.

Pije się też piwo. „Reinheitsgebot to jedyne na świecie piwo poza granicami Niemiec, destylowane według surowych »reguł czystości« powstałych w 1516 roku w Bawarii" – podkreśla Kurt, Niemiec urodzony 64 lata temu w tym zakątku Czarnego Lądu. Jego rodzina przybyła do Namibii jeszcze w XIX w. Jest właścicielem 5000-hektarowej farmy hodowlanej strusiów, założonej przez dziadka. Kolonia niemiecka w Namibii, w której rękach znajduje się większa część najlepszych gruntów, liczy 30 tys. osób, spośród których prawie wszyscy zajmują się hodowlą bydła.

Czy Kurt nie tęskni za ziemią przodków? „Nie, bo niby dlaczego? Nauczyłem się zgodnie współżyć z miejscowymi". Ale wkrótce wyrywa mu się melancholijne: „Oczywiście co roku, 27 stycznia, celebruję urodziny Kaisera Wilhelma, tak jak obchodzili je moi rodzice i moi dziadkowie. Jako emigranci nie powinniśmy zapominać o dobrych zwyczajach". Pruskie tradycje znane są tu wszystkim, Niemcy zachowali uprzywilejowany status społeczny. Niektórzy uważają, że są oni konserwatystami i trochę rasistami, ale to nie przeszkadza, by odnosić się do nich z szacunkiem.

Magiczny świat Afryki Wilbura Smitha został przyćmiony, od kiedy kontynent pogłębił się w mrocznym kryzysie. Nie ma jednak tutaj takiego drugiego kraju jak Namibia, gdzie wszystko chodzi jak w szwajcarskim zegarku. Gdzie nie znany jest rozbój, a warunki higieniczne nie mają sobie równych. Na kontynencie nękanym wojnami domowymi, katastrofami humanitarnymi oraz kryzysami społecznymi i zdrowotnymi Namibia kusi niedościgłym pięknem, gotowa zauroczyć nawet najbardziej wybrednych obieżyświatów. /©®